

**Przemysław Paweł Grzybowski**

Uniwersytet Kazimierza Wielkiego

## **PASJA LECZENIA (U)ŚMIECHEM. DOKTORZY KLAUNI W DZIAŁANIU**

Ponieważ XXVIII Letnia Szkoła Młodych Pedagogów miała charakter wyjątkowy, tzn. oprócz treści naukowych przeplatały się w niej związane z pasjami uczestników wątki osobiste, to także w niniejszym eseju pokonferencyjnym postanowiłem podzielić się wyjątkową pod względem formy opowieścią o pasji działalności wolontaryjnej jako doktor klaun. Migawki z wejść do szpitali pod szyldem Fundacji DrClown oraz klaunowych wypraw z Patchem Adamsem do Peru i Rumunii złożyły się na wystawę fotografii, którą można było oglądać w siedzibie Szkoły w Sandomierzu. Aby zarówno jej widzowie, jak i czytelnicy „Zeszytów Forum Młodych Pedagogów” mogli nieco bliżej, niejako od kuchni, poznać warsztat doktora klauna, przytaczam tu fragmenty pamiętnika. Powstał on z notatek z podróży i wejść do szpitali, które następnie wykorzystałem m.in. w monografii *Doktor klaun! Terapia śmiechem, wolontariat, edukacja międzykulturowa*<sup>1</sup>.

Zapiski te, książka, jak i wystawa są owocami pasji, która pozwala mi współdzielić z innymi (u)śmiech...

### **Mój pierwszy czerwony nos**

W naszym domu zawsze było pełno książek. Mamusia czytała mi je na dobranoc, a najbardziej fascynowały mnie te, które pochodziły jeszcze z czasów jej dzieciństwa i młodości. Miały tajemniczy zapach, pożółkłe kartki i trzeba je było bardzo delikatnie przeglądać. Jedna z nich (niestety nie pamiętam ani autora, ani tytułu) zawierała przepiękne bajki. Musiała być wydrukowana

---

<sup>1</sup> Zob. P.P. Grzybowski, *Doktor klaun! Terapia śmiechem, wolontariat, edukacja międzykulturowa*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2012.

w latach pięćdziesiątych–sześćdziesiątych XX wieku, bo wewnątrz miała gazetowy papier i okładkę z kredowego papieru na zewnątrz kolorową, wewnątrz zaś czarnobiałą. Widniało na niej zdjęcie wspaniałego klauna grającego na trąbce, któremu towarzyszył kilkuletni chłopiec ze skupieniem dmuchający w klarnet. Malec miał na czubku nosa czerwoną plamkę – jakby dopiero rozwijający się nos klauna. Mamusia zawsze mówiła, że to ojciec klaun z synkiem. Strasznie mu zazdrościłem, bo też chciałem być klaunem!

Kiedy byłem zupełnie mały, Tatuś zabrał mnie do cyrku. Mieszkaliśmy wówczas w Lubsku – jednym z najpiękniejszych miasteczek świata. Przyjazd wędrownego cyrku był tam wielkim wydarzeniem, więc każdy chciał choć przez chwilę przeżywać magię przedstawienia, czuć zapach trocin z areny, na widok akrobatów mieć motylki w brzuchu, no i oczywiście zobaczyć lwa lub słonia. Ot, świat dziecięcych marzeń i fascynacji wielkim światem – bo cyrk zawsze kojarzył mi się właśnie z wielkim światem, z podróżami, z kolorami, egzotyką i muzyką. Fascynował tym bardziej, że w telewizji pokazywali wówczas serię filmów dokumentalnych o cyrkach świata. To wtedy wryły mi się w pamięć nazwiska Barnuma i najsłynniejszych klaunów świata – braci Fratellinich.

Podczas przedstawienia, z rozdziawioną buzią patrzyłem oczarowany na złotowłosą dziewczyną wiszącą na linie wysoko pod kopułą. Na widowni zapanowała cisza, gdy konferansjer w eleganckim fraku zapowiedział *salto mortale* (cokolwiek to znaczyło – brzmiało tajemniczo i złowrogo, ale i intrygująco). Kiedy więc akrobatka z gracją sfrunęła na arenę, rozległa się burza oklasków i prośby o bisy. Wówczas Tato trącił mnie delikatnie łokciem i zwrócił uwagę na coś, co nie działo się na arenie, lecz tuż obok, w przejściu między ławkami. Stał tam On – klaun, najprawdziwszy w świecie! Był wielki, w zielonej połataney marynarce, żółtej czapce z daszkiem, bufiastych portkach i ogromnych butach, no i oczywiście miał czerwony nos i fikuśny kapelusik. Nie pamiętam już jak dokładnie miała na imię, lecz był to jeden z członków klaunowego duetu Rico i Coco. Stał wyprostowany, dumny, zapatrzony na arenę, skoncentrowany przed występem, wielkimi dłońmi głośno oklaskując bis akrobatki. W pewnym momencie jednak musiał kątem oka zauważyć, że się w niego wpatruję. Spojrzał mi więc prosto w oczy, szelmowsko się uśmiechnął, dotknął palcem swego nosa, po czym startą stamtąd odrobinę czerwonej szminki odbił na moim nosie, mówiąc: „Teraz ty też jesteś klaunem!”

Wiele lat później spotkałem Patcha Adamsa i zaciągnąłem się w szeregi doktorów klaunów poprawiających jakość życia chorych, cierpiących i umiera-

jących. Moją areną stały się szpitale, hospicja, domy dziecka, dzielnice nędzy, ulice..., a klaunowanie stało się pasją.

## Święta w szpitalu

Święta w szpitalu bywają różne. Najczęściej wypisuje się do domu kogo tylko można i zostają tu najciężej chorzy oraz przyjęci z ostrego dyżuru. Dopiero w pierwsze święto karetki przywożą pechowe ofiary przejedzenia i zapalenia wyrostka. Bywają dni, kiedy jest naprawdę spokojnie i pustawo – wówczas szpital na chwilę ogarnia magia świąt.

W Wigilię trafiła na oddział poparzona gorącą herbatą Karolina. Przez pierwsze trzy dni dziewczynka miała buzię i górną część ciała zabandażowane, a w opatrunkach wielkie ilości tłustej maści. Leżała więc sobie taka malutka mumia i właściwie nie miałem pojęcia, co tu z nią robić. Nie mogłem przecież zaprowadzić jej do choinki ani pokazać prezentów podarowanych dzieciakom przez fundację. Przedstawienie też nie wchodziło w grę, bo spod bandażu mała przecież niczego nie widziała. Pozostały klaunowe monologi, czyli opowiadanie mniej lub bardziej dziwacznych historii, dowcipów oraz czytanie.

Dziewczynkę rzadko ktoś odwiedzał. Jej wielodzietna rodzina mieszkała w gospodarstwie ponad sto kilometrów stąd. Mieli więc masę obowiązków, a drogi zawiane śniegiem wydłużały podróż. Przychodziłem więc do niej każdego dnia, z radością patrzyłem jak wraca do formy. Doktor Marek mawia zawsze: „Dzieci chorują bardzo ciężko, ale zdrowieją szybko. Mają w sobie jakąś gigantyczną moc, która pomaga im wychodzić z nawet największych opresji, a w naszej robocie najpiękniejsze jest to, że najczęściej dzieje się to na naszych oczach”. Rozumiem, co ma na myśli: to takie szpitalne cuda nie tylko na świąteczny użytek.

Kontakt mieliśmy ze sobą niezwykle: gdy Karolina coś chciała, po prostu mocniej ścisnęła mnie za palec. Gdy nie umiałem odgadnąć jej życzenia, spod bandażu dochodziło mruczenie, a czasem nawet stłumione chichoty. Mówić zaczęła później i wtedy dopiero się zaczęło! Buzia po prostu jej się nie zamykała – chyba z zemsty za moje koszmarnie opowieści, bo gdy skończyły mi się dowcipy dla dzieci, zacząłem jej nawet streszczać seriale oraz komiksy. Teraz to ja nasłuchiwałem się o koleżankach z klasy, nauczycielach, ciotkach, zwierzętach i lalkach Barbie we wszelkich możliwych modelach.

Najpierw spod stopniowo zdejmowanych bandaży Karoliny zaczęły wystawać blond włoski. Później wyjrzało jedno ciekawskie oko, które natychmiast obejrzało wszystko dokoła i najpierw zdziwiło się, lecz po chwili zaśmiało na mój widok. A pewnego dnia przyszedłem na dyżur i to mnie zaskoczyło, gdy jakiś maleńtas podbiegł do mnie na korytarzu i złapał za rękę. Karolina!

Tego dnia to ona pokazała mi szpitalną choinkę...

Gdy wertowałem poradniki i strony internetowe dla wolontariuszy, zainteresował mnie piękny wiersz anonimowego autora. Pięknie mówi o krępujących sytuacjach, w których nie wiadomo co zrobić z podopiecznym:

### Słuchaj

Gdy proszę, byś mnie wysłuchał,  
a ty zaczynasz udzielać mi rad,  
nie robisz tego, o co cię proszę.  
Gdy proszę, byś mnie wysłuchał,  
a ty zaczynasz mi mówić,  
dlaczego powinienem czuć inaczej,  
depczesz moje uczucia.  
Gdy proszę, byś mnie wysłuchał,  
a ty uważasz, że powinieneś coś zrobić,  
by rozwiązać mój problem,  
zawodzisz mnie,  
choć może to wydać się dziwne.  
Słuchaj! Prosiłem tylko o jedno,  
nic nie mów i nie rób – po prostu wysłuchaj mnie. [...]  
Gdy robisz za mnie coś, co potrafię  
i powinienem robić sam,  
sprawiasz, że rośnie mój lęk,  
czuję się coraz bardziej niepotrzebny.  
Ale kiedy przyjmujesz jako fakt oczywisty,  
że ja czuję to, co czuję,  
choćby to było irracjonalne,  
wówczas nie muszę cię przekonywać  
ani tłumaczyć ci tego wszystkiego,  
co kryje się  
za irracjonalnym uczuciem.  
A gdy jest to jasne, odpowiedzi stają się

oczywiste i nie potrzebuję rady.  
Irracjonalne uczucia mają sens,  
gdy rozumiemy, co się za nimi kryje. [...]  
Proszę więc, tylko wysłuchaj mnie.  
A jeśli zechcesz mówić, poczekaj chwilę  
na swoją kolej – teraz ja wysłucham Ciebie<sup>2</sup>.

## Wojtek i Czerwony Kapturek

Miałem dzisiaj fatalny dyżur. Czasem mimo największych wysiłków nie udaje mi się rozbawić jakiejś wyjątkowej marudy. Ba, jeszcze przy okazji oberwie mi się od rozpieszczonego dzieciaka, który pewny siebie, bo mamusia siedzi obok, używa sobie na wolontariuszu zupełnie bezkarnie i okrutnie. W takie dni nawet zwykle życzliwe salowe krzywo spojrzą; bzyczek w zamku drzwi prowadzących na oddział się zatnie i muszę czekać, aż ktoś mnie wpuści; już po wyjściu z szatni okazuje się, że mam dziurę w skarpecie i wszyscy widzą doktora klauna do pocerowania. Słowem szaruga za oknem i szaruga w sercu – nic, tylko zaszyć się pod kocem i przespać złe chwile.

Takiego właśnie dnia leżała sobie kilkuletnia blondyneczka z podejrzeniem wyrostka. Oglądała na wypasionym miniodtworzeniu jakieś bajki i zupełnie nie zwracała uwagi, gdy czytałem bajki chłopcom na dwóch łózkach obok. Gdy jej mama poszła do domu, dziewczynka, najwyraźniej wściekła na cały świat, postanowiła wyladować złość na mnie i w nawiązaniu do bajki o Czerwonym Kapturku zapytała z ironicznym uśmiechem: „A ty wilku możesz tutaj zaraz podejść?”. Nie przeczuwając niczego złego, w nadziei, że uda mi się ją włączyć do zabawy, przesunąłem się z krzesłem w jej stronę, oświadczając: „Oczywiście królewno – pan wilk nadchodzi.”

Królewna zamieniła się jednak w Czerwonego Kapturka: „Wilku dlaczego jesteś taki łysy?” Hmm, nie spodziewałem się takiego pytania, ale w dobrej wierze odpowiedziałem: „Bo dużo się uczyłem i od mądrości wypadły mi prawie wszystkie włosy!”. Chłopaki, którym wcześniej czytałem, zachichotali. Kapturek jednak kontynuował przesłuchanie: „Wilku, a dlaczego masz tyle

---

<sup>2</sup> T. Gordon, E.W. Sterling, *Pacjent jako partner*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1999, s. 126–127.

pryszczu na nosie?” Nooo, to już był cios poniżej pasa. Zamurowało mnie, bo istotnie, kiedy zaczynają pylić drzewa, moja alergia daje o sobie znać i nos przypomina grządkę pypci, więc ozdoba mojej twarzy nawet do maski klauna nie pasuje tak idealnie, jak wcześniej. Nie pamiętam dokładnie, co jej odpowiedziałem, zresztą najwyraźniej nie czekała na odpowiedź, bo zaraz zadała następne pytanie: „Wilku, a dlaczego masz takie krzywe zęby?”. Nie chciałem jej uświadamiać, że w dawnych czasach nie było nas stać na aparat ortodontyczny i dlatego teraz mogę bez charakteryzacji występować jako statysta w filmie o wampirach. Po chwili podobnie padły kolejne uszczypliwości: „Wilku, dlaczego jesteś taki strasznie brzydki i masz brudne spodnie?”. Zaczynałem się robić czerwony, co jest oznaką nadchodzącego wybuchu. Potrafię się jednak pohamować – zwłaszcza w szpitalu.

Nie wytrzymał jednak Wojtek, jeden ze słuchaczy bajki: „Ty chyba jakaś porębana jesteś. Pan tu przychodzi się z tobą bawić, a ty sobie jaja robisz?”. Zapanowała cisza, bo wszystkich zamurowało. Dziewczynka odwróciła się do ściany, pokazując nam, co o nas myśli... Ale lekcję chyba zrozumiała, bo gdy spotykałem ją w kolejne dni, już nie była Czerwonym Kapturkiem, a co najwyżej mniej lub bardziej szczerze Śpiącą Królewną.

Wojtek to takie nasze oddziałowe dziecko. Ma kamicę nerkową i co kilka tygodni rodzice przywożą go na kruszenie kamieni. Wszyscy go znają od lat, a on po prostu tu pomieszkuje i z niezwykłą cierpliwością, z niesamowitą dojrzałością przewlekle chorego dziecka dzieli się z nami swoim światem i cierpieniem. Aż trudno uwierzyć, że ma tylko siedem lat!

## Marta i kolano

Dzisiaj jak zwykle zrobiliśmy kolorowy obchód po piętrach oddziału onkologicznego, zakręciliśmy wesołą gromadką w świetlicy, wystraszyliśmy czerwonymi nosami kilka niemowlaków i rozeszliśmy się do sal, by pobyć z tymi, którzy nie mogą lub nie chcą wychodzić na korytarze. Kuba usiadł na kolanach nowej pielęgniarki, a ta mało nie zemdląła z wrażenia. Będą mieli o czym opowiadać przez tydzień. Poszedłem pogwarzyć z Martą z czwartego piętra.

Marta jest typową nastolatką. Przekorna, o zmiennych nastrojach, z gwiazdami i błyskawicami w spojrzeniu. Od małości uwielbiała tańczyć, a jej

marzeniem jest nagroda w konkursie disco na turnieju w Kielcach albo nawet występ w *Tańcu z gwiazdami* – niekoniecznie jako gwiazda. Jak ma dobry dzień, to słucha muzyki klasycznej i techno (nazywa to ogólnym wykształceniem muzycznym). W złe dni zakłada słuchawki, z których płynie death metal. Marta mówi, że gdyby nie fakt, iż jest przykuta do łóżka, to w takie dni pobiegłaby do lasu i wrzeszczała na cały świat aż do omdlenia.

Kiedy poznałem Martę kilka tygodni temu, był upalny letni dzień. W szpitalu nawet ściany się pociły, więc wszędzie były pootwierane okna. Marta miała dobry dzień i zgodziła się, bym ją odwiedził. Leżała, czytając książkę o wampirach i oglądając w telewizji jakiś serial. Potraktowała mnie jak przerywnik na reklamę, bo akurat miała ochotę na małą zmianę w otoczeniu. Najpierw rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym (jak zwykle zaczyna się od komentowania serialu, poprzez modę i subkultury, a kończy na pytaniu „Co taki stary facet tu robi jako doktor klaun?”).

Gdy Marta wpuszcza kogoś do swojego świata, urządza dla niego mały egzamin. Jeśli zda, zostaje przyjęty i ma szanse na kolejne spotkania, nawet na przyjaźń. Jeśli nie zda – będzie mógł liczyć najwyżej na spojrzenie, bo „coś więcej” jest tylko dla swoich. Gdy egzamin się rozpoczyna, Marta pyta, czy może odkryć nogę, bo jest bardzo ciepło. Egzaminowany zwykle nie sprzeciwia się, a nawet uprzejmie proponuje pomoc. I teraz nadchodzi najtrudniejsze: róg kołdry podnosi się, opada tuż obok, a na prześcieradle leży noga Marty z kolanem wielkości piłki do szczypiorniaka. Marta ma nowotwór kości. Doktor Marek mówi, że nogi nie da się już uratować, lecz nie amputują jej jeszcze, by Marta się zupełnie nie załamała. W chorobach nowotworowych najważniejsza jest nadzieja.

Egzamin Marty zdałem – ale chyba wolałbym zdawać z matematyki. Gdy Marta poznaje kogoś nowego, dyskretnie wychodzę do innej sali. Niech sobie porządzi.

## **Olbrzym i Kamilka**

Na naszym oddziale jest pomieszczenie, które nazywamy akwarium. To sala o szklanych ścianach na wprost dyżurki, aby pielęgniarki zawsze miały na oku, co się tam dzieje i w razie problemów mogły szybko pobic z pomocą. Poza tym dźwiękoszczelne drzwi zapewniają tam pacjentom ciszę i choćby

częściową izolację od korytarzowego rozgardiaszu. Do sali tej trafiają krasnoludki, czyli niemowlęta i dzieci z różnych względów wymagające szczególnej opieki – nawet przez dłuższy czas; pacjenci po bardzo ciężkich operacjach albo tacy, dla których zabrakło miejsca w separacie.

Pewnego razu w akwarium zamieszkał ogromny tato z córeczką. Dwumetrowy, świetnie umięśniony facet o twarzy mordercy, który na dodatek w ogóle się nie odzywa – tak określili go klaunice, które opowiadały mi o swoim dyżurze. Nie dziwi więc fakt, że nowi goście oddziału wzbudzali zainteresowanie. Nawet pielęgniarki zaczęły określać tatę mianem Olbrzyma, a jego córeczka jak się okazało miała na imię Kamila.

Nigdy nie wiem, jak się zachować i czego można się spodziewać po dzieciach w takim stanie. Kamila miała porażenie mózgowie, przykurczone rączki i nóżki, długim uchem chyba usłyszałem też coś o wodogłowiu, ale nie znam się na terminach medycznych, które zresztą i tak nie mają większego znaczenia w naszej pracy. Dziewczynka była bardzo cicha i spokojna. Mimo sześciu lat, wyglądała może na trzy. Z jej tatą rzeczywiście nie było rozmowy, bo najwyraźniej trwał zamknięty w świecie cierpienia swego dziecka i swej rodziny, mechanicznie, lecz niezwykle czule wykonywał czynności pielęgnacyjne, a gdy Kamilka zasypiała, patrzył w okno jakby chciał ogarnąć spojrzeniem cały świat widzialny z szóstego piętra szpitala po horyzont.

Po wstępnym obchodzie po salach poszedłem do Kamili trochę ją zabawić. Jak zwykle miałem do dyspozycji pacynki, pierdzącą poduszkę, książkę bajek z obrazkami i wyobraźnię. Kiedy zmieniałem głos, naśladując kolejnych bohaterów bajki o trzech świnkach albo wrzucałem dziewczynce do łóżka pacynki śmiała się głośno, chichotała, trzęsąc się z przejęcia. Olbrzym początkowo patrzył na mnie bardzo nieufnie, ale nie protestował, pozwalał na zabawę z córeczką, chociaż w niej nie uczestniczył.

W pewnym momencie skończyły mi się bajkowe pomysły, więc zacząłem improwizować. Pan Żaba – moja ulubiona pacynka, zakochał się w Kamili i postanowił się jej oświadczyć, zaczynając od typowej zaczepki: „Oh Kamilo, jakie pani ma piękne oczy!”. I wtedy Olbrzym położył mi rękę na ramieniu i powiedział: „Świetny pomysł, tylko że Kamila nie widzi”, po czym wyszedł z sali. Zrobiło mi się strasznie głupio, nie wiedziałem, co mam powiedzieć lub zrobić, ale skoro dziewczynka wciąż chichotała, pobawiliśmy się jeszcze chwilę i wyszedłem spocony z emocji na korytarz. Na jego końcu jest okno. To takie najbardziej zaciszne miejsce, przy którym lubią się zaszywać osoby, które chcą



pobyć przez chwilę same albo chcąc z kimś po cichu porozmawiać „w ukryciu.” Olbrzym stał tam, patrząc w dal swoim zwyczajem, a gdy podszedłem odwrócił się do mnie i zauważyłem, że oczy ma mokre od łez. Wtedy to, kolejny raz tego dnia, stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Olbrzym objął mnie mocno i zaczął szlochać, płakać tak, jak płaczą mężczyźni, gdy nikt nie widzi.

Rozmawialiśmy później bardzo długo, a właściwie to ja słuchałem niezwykłej opowieści o szczęśliwej rodzinie, w której pewnego dnia przyszła na świat dziewczynka, o której z powodu jej choroby krewni mówili, że jest i będzie jak warzywko, które do końca życia trzeba już będzie tylko dokarmiać, bo nic więcej poza wzrastaniem nie potrafi. Opowiadał o dramacie rodziców, o zawiedzionych nadziejach, o rozczarowaniu, o plotkach sąsiadów, o składanych przez teściów propozycjach oddania Kamilki do zakładu opieki, o myślach samobójczych, o nadziei, gdy dziewczynka zaczęła wydawać dźwięki... Kiedy na pożegnanie zapytałem, dlaczego to mnie wybrał, aby podzielić się tym wszystkim, odparł: „Bo pan jako pierwsza osoba od wielu miesięcy potraktował Kamilę jak zwyczajne dziecko, a nie jak warzywko”. Do licha, do głowy by mi nie przyszło, że można inaczej. Każdy uśmiech i śmiech – zwłaszcza taki jak Kamili, to ogromny ładunek nadziei. Dzięki niemu nie ma ostatecznych diagnoz, perspektyw i wyroków, jest tylko życie, które bywa wszak nieprzewidywalne. Może pewnego dnia warzywko stanie się najpiękniejszym kwiatem i będzie się jeszcze piękniej uśmiechać...

### Charlie Chaplin

#### Uśmiech

Uśmiechaj się, choć serce boli.  
Uśmiechaj się choćby złamane było.  
Nawet gdy słońca brak na niebie  
Dasz sobie radę,  
Jeśli tylko uśmiechem odgonisz  
Strach i smutek.

Uśmiechaj się, a może jutro  
Zobaczysz, jak słońce wschodzi  
I świeci właśnie dla ciebie.  
Niech twoja twarz jaśnieje radością,  
Ukrywaj każdy smutku ślad,  
Choć łza się kręci w oku.

Właśnie teraz próbuj uśmiechać się,  
Bo po co komu łzy!

Zobaczysz, że to życie wciąż warte jest zachodu  
Jeśli tylko się uśmiechasz.

Zobaczysz, że to życie wciąż warte jest zachodu  
Jeśli tylko się uśmiechasz...<sup>3</sup>

### Michał i chłopiec z separatki

Przejmując dzisiaj dyżur na oddziale, spotkałem Michała – doktora klauna (prywatnie radiowego dziennikarza-celebrytę), który dołączył do naszego zespołu kilka tygodni temu i dopiero gromadzi niezwykle dla niego doświadczenia. Wychodził ze szpitala całkowicie wyczerpany, ale rozpromieniony. Stwierdził, że przypuszczał, iż czekają go takie wrażenia, lecz w najśmielszych marzeniach nie przewidywał, że spotka go taka przygoda jak dzisiaj.

Przywieziono Karola – kilkuletniego chłopca z wodogłowiem i podejrzeniem jakiegoś schorzenia jamy brzusznej. Ponieważ bez przerwy płakał, krzyczał i wyrywał się umieszczono go w separacie, by nie zakłócał spokoju pozostałych chorych. Badanie przebiegało w bardzo nerwowej atmosferze i w końcu zostało przerwane, by pacjent choć trochę się uspokoił. Nawet gdy było już po wszystkim i lekarz zdecydował, że Karol powinien pozostać w szpitalu na obserwacji, chłopiec nie uspokajał się, bo w pobliżu nie było ani jego rodziców, ani żadnych znajomych. Mimo zamkniętych drzwi separatki, na korytarz docierał jego płacz przechodzący czasem w wycie. Sytuacja stawała się naprawdę nieprzyjemna, bo wiele dzieci w pozostałych salach zaczęło się bać.

Michał poprosił o pozwolenie wejścia do sali Karola. Gdy lekarz dyżurny wyraził zgodę, doktor klaun wparadował z całym kolorowym arsenalem baloników, trąbek, zabawek, książek i innych drobiazgów, które miał w wielkim plecaku. Karol zainteresowany niezwykle gościnnie ucichł na chwilę,

---

<sup>3</sup> Ch. Chaplin, *Dzisiejsze czasy* (ang. *Modern times*), 1936, USA. Wszystkie tłumaczenia utworów w tym artykule są mojego autorstwa.

lecz nie trwało to długo – po chwili płakał znowu. Michał nie dawał jednak za wygraną, wypróbowując coraz to nowe metody zabawiania i rekwizyty. W końcu, gdy dotarł do dna plecaka, jedyne co mu przyszło do głowy to robienie min. I wtedy stał się cud: Karol uspokoił się. Nagła cisza zaniepokoiła nawet pielęgniarki, które w dyżurce już konsultowały się z lekarzem w sprawie podania chłopcu środków uspokajających.

Kiedy Michał przestawał robić miny, Karol zaczynał płakać – gdy Michał znów robił miny, Karol się uspokajał... Doktor klaun trwał więc dzielnie na posterunku, wykrzywił buzię na wszelkie możliwe sposoby, wybałuszał oczy, rozciągał usta, nadymał policzki i z wdziękiem machał uszami. W tym czasie lekarz nie tylko powtórnie zbadał Karola w sali już bez przeszkód, ale jeszcze w asyście pielęgniarek zawieźli go na USG. Podobno niezwykle pochód z robiącym miny doktorem klaunem na czele obserwowało pół oddziału, bo czegoś takiego nikt tu jeszcze nie widział. Po powrocie do sali Karol zasnął.

Na zakończenie opowiadania Michał dodał: „Nie czuję już twarzy i smaku, ale w robieniu min mogę się teraz pojedynkować nawet z Jasiem Fasolą!”.

I tylko jedna z salowych pod koniec dyżuru, szepnęła mi na ucho: „Ależ macie fajnego tego Michała. Taki doktor klaun to dla nas prawdziwe błogosławieństwo!”.

Fakt, błogosławieństwo... Zupełnie jak w tym fragmencie francuskiej książki o błogosławieństwach śmiechu:

Błogosławieni, którzy odpowiadają na wołanie innych, jednocześnie nie uważając się za niezastąpionych... Oni będą siewcami radości.

Błogosławieni, którzy śmieją się z samych siebie, bo nigdy nie skończą się bawić.

Błogosławieni, którzy uśmiechają się na widok ludzkich śmieszności wiedząc, że sami też są ich źródłem.

Błogosławieni, w których śmiechu nie ma złośliwości, ani wulgarności, bo tym sposobem ich nie podsycają. Śmieście się więc „z kims”, a nie „z kogoś”.

Błogosławieni, którzy śmieją się z dowcipów, które ktoś im robi, bo będą się cieszyć robiąc je innym.

Błogosławieni, którzy są na tyle inteligentni, by nie traktować samych siebie zbyt poważnie.

Błogosławieni, którzy śmieją się z własnych potknięć, bo w ten sposób ujawniają swą prostotę.

Błogosławiony radosny śmiech, bo jest zaraźliwy. Śmiech jest darmowy, ofiarujcie go innym!

Błogosławieni, którzy śmieją się, widząc, że śmieją się inni, bo ich serce jest otwarte na radość.

Błogosławieni, którzy śmieją się, nawet za bardzo nie wiedząc z czego, bo Bóg to wie.

Błogosławieni, którzy mówią, że nie ma się z czego śmiać, robią to z uśmiechem<sup>4</sup>.

## Niespodzianka

Po trzech tygodniach pracy w szkołach w brazylijskich fawelach, bardzo zmęczony wróciłem do São Paulo. Tu spotkałem się m.in. z uczestnikami kursu tanatologicznego prowadzonego przez Dorę Incontri i Franklina Santanę Santosa na Wydziale Medycyny Uniwersytetu São Paulo (port. *Faculdade de Medicina da Universidade de São Paulo*)<sup>5</sup>. Niezwykli to studenci, bo oprócz wolontariuszy, doktorów klaunów, nauczycieli, osób piszących o cierpieniu i chorowaniu na sali bywają też chorzy – np. na AIDS, którzy swoimi relacjami wzbogacają kurs w sposób niepowtarzalny. Podziwiam odporność psychiczną Dory i Franklina. Niekiedy ich studenci wykruszają się, umierają. Zostaje po nich pusta ławka, na której ktoś wymownie kładzie kwiat... na pożegnanie.

Odwiedziłem też doktorów klaunów w szpitalu psychiatrycznym przy Domu Andre Luiza (port. *Casa Andre Luiz*)<sup>6</sup>. Realizuje się tu interesujący program współpracy m.in. z pobliskim domem starców, z którego wywodzi się większość tutejszych doktorów klaunów. U podstaw projektu leży założenie, że pensjonariusze domu starców mają sporo wolnego czasu i ograniczone możliwości przemieszczania się np. do centrum miasta, które jest oddalone o wiele kilometrów. We współpracy ze studentami uniwersytetu powstał więc zespół

---

<sup>4</sup> Ch.T. Schaller, Kinou-le-clown, *Le rire, une merveilleuse therapie. Mieux rire pour mieux vivre*, Editions Vivez Soleil, Thonex–Genève 2000, s. 9.

<sup>5</sup> Zob. w Internecie: <[www.fm.usp.br](http://www.fm.usp.br)> [dostęp: 6.10.2014].

<sup>6</sup> Zob. w Internecie: <[www.andreluiz.org.br](http://www.andreluiz.org.br)> [dostęp: 6.10.2014].

doktorów klaunów, którego działalność nie tylko wspomaga pacjentów psychiatrycznych Domu Andre Luiza, ale jest też źródłem radości dla staruszków, którzy czują się dzięki temu potrzebni, mają kontakty z osobami spoza placówki i mogą realizować pożyteczną pasję. Tu, w szpitalu psychiatrycznym oprócz klaunowania pomagają terapeutom przy rehabilitacji pacjentów z przykurczami, wykorzystując metodę odruchów warunkowych. Chorzy gromadzeni są na werandzie pod wielkimi parasolami. Z głośników przenośnego magnetofonu dobiega rytmiczna muzyka, a doktorzy klauni tańczą z pacjentem w rytm muzyki, trzymając w rękach trąbki rowerowe. Trąbiąc raz jedną, raz drugą wywołują u pacjentów naturalne odruchy odwracania głowy w kierunku dźwięku i podrygiwania wraz z tańczącymi. Zdaniem terapeutów tego rodzaju ćwiczenia są dla pacjentów mniej dokuczliwe i bolesne, niż typowe formy fizjoterapii.

Pewnego dnia po obiedzie Dora i Franklin wywieźli mnie z przedmieścia na wycieczkę do centrum São Paulo, twierdząc, że mają niespodziankę i musimy zdążyć na czas. Przypuszczałem, że chcą mnie zabrać do kina lub na jakiś koncert, ale gdy wysiedliśmy na podziemnym parkingu luksusowego hotelu, moje zaskoczenie zaczęło rosnać. Stanęliśmy w niesamowicie długiej kolejce oczekujących przed wejściem do ogromnej sali konferencyjnej. Jak to w Brazylii godzina rozpoczęcia imprezy była czysto umowna, bo Brazylijczycy uwielbiają się spóźniać. Na sali było ponad dwa tysiące osób stłoczonych na plastikowych krzeselkach wyposażonych w zestawy słuchawek służące do odbioru tłumaczenia wystąpień. Domyśliłem się, że nie będzie to spektakl, lecz spotkanie z kimś ważnym – jednak nikt konkretny nie przychodził mi do głowy. Zajęliśmy miejsca w jednym z ostatnich rzędów, więc nie byłem w stanie odczytać treści kolorowego plakatu stojącego gdzieś przy mównicy.

Po chwili na niewielkim podwyższeniu pojawił się... Patch Adams! Byłem zupełnie zaskoczony, bo jeszcze kilka tygodni wcześniej do głowy by mi nie przyszło, że zobaczę kiedyś prawdziwego bohatera filmu z Robinem Williamsem. Prawie dwugodzinne spotkanie dodawało skrzydeł. Patch opowiadał o klaunowaniu, pokazywał zdjęcia i filmy m.in. z wyprawy doktorów klaunów do Afganistanu. Na koniec zaproponował, że jeśli ktoś chce z nim nawiązać współpracę, to wystarczy, że do niego napisze – co zrobiłem zaraz po powrocie do domu. Wówczas nawet nie przypuszczałem, że tajemnicza wycieczka do centrum São Paulo będzie początkiem przygody mojego życia.

## Najpiękniejsi ludzie świata

Niekiedy spotkania doktorów klaunów z różnych stron owocują niezwyklej inicjatywami. Tak też się stało, gdy Fundacja „Dr Clown” zorganizowała w Bydgoszczy warsztaty dla wolontariuszy. Wówczas pojawił się pomysł zaproszenia do Polski z serią wykładów Patcha Adamsa. We współpracy z Akademickim Centrum Wolontariatu Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Urzędem Miasta Bydgoszczy oraz Bydgoskim Ośrodkiem Rehabilitacji, Terapii Uzależnień i Profilaktyki „BORPA” udało się pokonać trudności i w końcu Patch tuż po klaunowych wyprawach do Moskwy i Berlina wylądował w Szczecinie, a stąd po krótkim pobycie pojechał do Bydgoszczy i Warszawy. Opiekowały się nim dwie urocze wolontariuszki – Katarzyna Dera z warszawskiego oddziału Fundacji „Dr Clown” i Aleksandra Petrus z oddziału szczecińskiego, pełniąc jednocześnie rolę tłumaczki.

W Bydgoszczy Patch spotkał się w gmachu uniwersytetu z „bardzo ważnymi osobami”, które pomogły zorganizować jego pobyt. W auli czekało niecierpliwie prawie trzystu słuchaczy, którzy na zakończenie dwugodzinnego wykładu urządzili mu owację na stojąco. Bisów oczywiście nie było, bo po południu zespół doktorów klaunów wraz z Patchem udał się poklounować do domu małego dziecka.

Spotkanie z Patchem było szczególnym przeżyciem, zwłaszcza dla miejscowych wolontariuszy i doktorów klaunów, którzy przez wiele tygodni pracowali przy organizacji pobytu, dzieląc się różnymi obowiązkami. Patch, widząc ich czekających na niego na ulicy, a później towarzyszących mu podczas wszystkich spotkań stwierdził: „Jesteście najpiękniejszymi ludźmi na świecie. Kiedy widzi się te kolorowe buzie, błyszczące radością i młodością oczy, jedyne w swoim rodzaju uśmiechy, to chce się żyć. Jestem pewien, że dajecie waszym podopiecznym, przyjaciołom i krewnym tyle miłości, że wystarczy jej dla nich i jeszcze zostanie dla co najmniej połowy ludzkości. I jak tu was nie kochać? Kocham was!”. I jak to Patch, otarł łezkę wzruszenia...

Patch jest miłośnikiem książek. Ma ich tysiące i pewnie tysiące ich przeczytał. Gdy szliśmy sobie uczelnianym korytarzem, stwierdził, że nie wyobraża sobie dnia bez czytania. Ja też. Gdyby tak jeszcze mieć czas na naprawdę dobre pisanie, zamiast grzebania w uczelnianych papierach!

Wyprawy z Patchem do Rumunii (ośrodki dla dzieci z HIV/AIDS) i Peru (dzielnica nędzy Belen w Iquitos) pomogły mi zrozumieć, co naprawdę jest

w życiu ważne, utwierdzić priorytety na przyszłość i z czerwonym nosem nie wstydzić się wyrażać miłości do ludzi – podobnie jak klaun z wiersza Menchu Solera:

### **Modlitwa klauna**

Panie:

Jestem śmieciem, ale kocham Cię  
kocham Cię strasznie, jak wariat, bo tylko  
tak Cię kochać potrafię,  
wszak jestem klaunem!  
Minęło wiele lat odkąd mnie ukształtowałaś,  
a wkrótce, być może nadejdzie ten dzień,  
w którym do Ciebie powrócę...  
W portfelu mam pustki, moje kwiaty  
zwiędły i wyblakły  
tylko moje serce jest wciąż takie samo...  
I choć moje ubóstwo mnie przeraża,  
to pociesza mnie Twoja dobroć.  
Stoję przed Tobą jak  
popękany dzban, ale z tej  
samej gliny zawsze możesz zrobić  
inny, jaki tylko Ci się spodoba...

Panie:

Cóż mógłbym Ci powiedzieć, gdy wystawisz mi  
rachunek z życia? Powiem Ci,  
że w życiu zwyczajnie mi nie wyszło,  
jak komuś,  
kto mierzył za wysoko.

Panie:

Przyjmij moją wieczorną modlitwę...  
Moje życie, jak flet jest pełne  
dziur...  
więc weź je proszę w swe Boskie dłonie.

Niech Twa muzyka napęlni  
mnie i popłynie

do moich braci  
ludzi, niech jej  
rytm i melodia  
towarzyszą im w drodze,  
niech dają im szczerą radość  
w znoej wędrowce przez życie...<sup>7</sup>

## Bibliografia

- Chaplin Ch., *Dzisiejsze czasy*, 1936, USA.  
Gordon T., Sterling E.W., *Pacjent jako partner*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1999.  
Grzybowski P.P., *Doktor klaun! Terapia śmiechem, wolontariat, edukacja międzykulturowa*, Oficyna Wydawnicza Impuls, Kraków 2012.  
Schaller Ch.T., Kinou-le-clown, *Le rire, une merveilleuse therapie. Mieux rire pour mieux vivre*, Thonex - Genève 2000, Editions Vivez Soleil.

## Netografia

- [www.alfayomega.es/alfayome/menu/pasados/revistas/2000/oct2000/num228/desdlafe/deslafe3.htm](http://www.alfayomega.es/alfayome/menu/pasados/revistas/2000/oct2000/num228/desdlafe/deslafe3.htm) [dostęp: 6.10.2014].  
[www.andreluiz.org.br](http://www.andreluiz.org.br) [dostęp: 6.10.2014].  
[www.fm.usp.br](http://www.fm.usp.br) [dostęp: 6.10.2014].

---

<sup>7</sup> Zob. w Internecie: <[www.alfayomega.es/alfayome/menu/pasados/revistas/2000/oct2000/num228/desdlafe/deslafe3.htm](http://www.alfayomega.es/alfayome/menu/pasados/revistas/2000/oct2000/num228/desdlafe/deslafe3.htm)> [6.10.2014].